

LOS JEŃCÓW RADZIECKICH W GROSS-ROSEN.
WE WSPOMNIENIACH LEKARZA

W kwarantannie w Oświęcimiu przebywaliśmy około 6 tygodni, przeważnie pracując nadal w szpitalu obozowym. Dopiero 17 grudnia 1941 r. wyjechalismy w drogę do Gross-Rosen więźniarką kolejową. Nikt w Oświęcimiu nie wiedział, gdzie jest obóz koncentracyjny Gross-Rosen. Leichenträger /nosiciel zwłok/ Teofil Banasiuk przysięgał, że znajduje się on w koszarach w Różanie nad Narwią. Kolega obozowy, Bernard Świerczyna z Effektenkammer, dowiedział się od kolegów-więźniów z wydziału politycznego, że jest to nowy obóz na Śląsku, ale nikt nic nie wiedział na pewno.

Pierwszego dnia wieczorem wysadzono nas w Krakowie i podczas zadymki śnieżnej dostawiono do więzienia św. Michała /przy ul. Poselskiej - obecnie muzeum/, tam pozostawiono nas na "przechowanie". Odizolowano nas, ale w nocy polski strażnik zaproponował nam przeniesienie na kilka godzin do innej dużej celi, tzw. kaplicy, aby inni więźniowie mogli się coś dowiedzieć o Oświęcimiu. Oczywiście z chęcią przystalismy na to. Nie spotkalismy jednak nikogo znajomego. Opowiadalismy o Oświęcimiu bez przesady, zgodnie z prawdą. Ale przebywający w więzieniu nie chcieli nam wierzyć. Posadzano nas, iż jesteśmy nasyłani kapusie i musieliśmy przysięgać na krzyżyk, że mówimy prawdę. Wprawdzie potem jeden z więźniów rozpoznał dr Żeglenia jako swego kolegę szkolnego, ale musieliśmy już wracać do własnej celi. Długo w nocy rozstrzaskalismy z Żegleniem tę sprawę czy w podobnych warunkach byliśmy skłonni wierzyć w tak na pozór nieprawdopodobne opowiadania.

Następnego dnia koło południa zaprowadzono nas w kajdankach na stację kolejową i wsadzono do tej samej więźniarki, z urywków rozmów przekonalismy się, że wszystkie celki są ciasno wyładowane, Żegleń, sam zresztą góral, twierdził, że to jada sami górale. Jechalismy wagonem przypiętym do pociągu osobowego i słyszeliśmy nazwy niektórych stacji kolejowych. Wreszcie pociąg zatrzymał się znów w Oświęcimiu i wszystkich więźniów wysadzono, a nas przypięto do innego pociągu i pojechalismy do Katowic. Tam znów nas przetaczano i dopięto do innego pociągu, aż wreszcie późno w nocy dojechalismy do stacji Breslau-Oderberg /Wrocław-Nadodrze/, gdzie nas wysadzono. Skutych i na łańcuszkach poprowadzono nas przez całe miasto do więzienia, do budynku do dziś istniejącego /przy ul. Sądowej/.

Z braku miejsca umieszczono nas na oddziale małoletnich, odsiadujących drobne wyroki. Tam spędziliśmy cały tydzień, oczekując na dalszy transport. Wreszcie 23 grudnia po południu zaprowadzono nas na dworzec kolejowy i pojechalismy dalej. Późno w nocy, przy szalejącej śnieżycy wysadzono nas w Legnicy na stacji, gdzie na peronie oczekiwało nas dwóch esesmanów. Wsadzono nas do zabudowanej furgonетки i zamknięto z jednym esesmanem. Jechalismy około dwóch godzin w zupełnej ciemności, auto doznawało w śniegu ciągłych poślizgów. Wysadzono nas wreszcie przed

bramą obozu. Gross-Rosen był wtedy małym, budującym się dopiero obozem. Świadczyły o tym chwiejące się na wietrze, prowizoryczne płoty. Reżim musiał być nielekki, bo mimo bardzo późnej pory jakieś komando ćwiczyło karny sport w śniegu obok świecącej się żarówkami choinki.

Mieliśmy w tym obozie pecha od samego początku. Najpierw była zimna kąpiel w małej blaszanej balijce, w nieopalanej kancelarii obozowej. Trudno się w tym wykapać bez zachlapania podłogi, było więc zaraz i mordobicie. Potem ten sam esesman, bez żadnych dystynkcji, a więc prosty szturman rozłożył papiery i zaczął spisywać nasze fragebogeny. W pewnym momencie zapytał nas o narodowość: Alle beide Polacken?, używszy pogardliwego określenia. Myślałem, że to jest jakiś nadgorliwy kancelista i zaprzeczyłem krótko nein. Znow przejrzał papiery, wreszcie powiedział: Hier steht doch geschrieben alle beide Polen. Stimmt das oder nicht? /jest napisane, że obaj Polacy, czy zgadza się czy nie?/. Odpowiedziałem: Jawohl, das stimmt. A kiedy dopytywał się dalej o przyczynę zaprzeczenia powiedziałem mu grzecznie, że taka nazwa dla Polaka jest przezwiskiem tak, jak dla Niemca Szwab lub German. Wtedy razem z lagerältesterem Schalbym Picklem znokautowali nas i dowiedziałem się, że mam do czynienia z samym rapportführerem Helmutem Eschnerem, który uważa się za obrażonego. Od tego czasu miał nas w sercu i przy każdym spotkaniu wymyślał nam od polskich świń.

W obozie Gross-Rosen nie za bardzo wiedzano, po co nas przysłano. Widocznie jednak byliśmy pisemnie zapowiadziani, bo przygotowano dla nas cudaczne ubrania, z jakimi się nigdzie przedtem ani potem nie spotkaliśmy. Otrzymaliśmy spodnie w paski, do tego białe drelichowe bluzy, jakieś letnie pozostałości z armii kajzerowskiej, płaszcze pasiaste i białe czapki z czerwonym napisem na otoki: Häftlingsarzt, dodatkowo jeszcze na bluzie i płaszczu białe opaski z czerwonym krzyżem. Numery otrzymaliśmy niskie: Żegleń 1486, a ja 1487.

Zaprowadzono nas do lagerführera Thumanna, który ze złośliwym uśmiechem obchodził nas w koło. Potem konferował coś na boku z rapportführerem Helmutem Eschnerem na nasz temat. Ten zaprowadził nas do baraku obok komendantury, gdzie widniał napis SS-Revier. Tam zastaliśmy dwóch lagerarztów, którzy na nasz widok wybuchli śmiechem. Starszy z nich obersturmführer Freidrich Entress zdawał właśnie służbę w Gross-Rosen i odchodził do Oświęcimia. Dlatego wypytywał nas wiele o obóz w Oświęcimiu. Drugi, młodszy untersturmführer Kurt Babor, nowo przybyły do Gross-Rosen jak i my, urządził nam egzamin na temat duru plamistego. Potem przy nas powiedział do rapportführera Eschnera, że nie zgadza się z Thumannem, żeby nas wziąć do rewiru ogólnego. On tam potrzebuje Leichenträgerów, a nie lekarzy. Niech nas odeśle tam, dokąd nas przysłali, tzn. do "ruskich". Tak więc zadecydowano. Poszliśmy do pracy w obozie jeńców radzieckich.

Obóz koncentracyjny Gross-Rosen był wtedy, jak wspomniano, obozem małym, w dodatku podzielonym na dwa lagry: ogólny i jeńcki, dla jeńców radzieckich. W obozie ogólnym, istniejącym już od przeszło roku, miałem najwyższy numer: 1487. Ale w obozie nie było tylu więźniów. Może około 1000, może mniej. Mieszkaliśmy w pięciu małych, drewnianych barakach /typu dla 150 ludzi/. Sypialnie były jeszcze bez podłóg. Sypiało się rozkłada-

jąc sienniki na piasku. Oczywiście w ziemi nie było to przyjemne. Mieliśmy dość po pierwszej nocy spędzonej w bloku nr 1.

Rewir obozowy mieścił się w połowie takiego baraku w drugiej części na kuchnię. Budowało się dwa podobne baraki /późniejszy rewir 1 i 2/, ale jeszcze nie były czynne. Ponadto jeden podobny barak zajęty był na kancelarię. W blokach nie było jeszcze wody ani kanalizacji. Była jedna ogólna obozowa latryna i korytka drewniane do mycia przy każdym bloku.

Obóz dla jeńców radzieckich w Gross-Rosen zajmował południową połowę lagru, oddzieloną płotem z drutu kolczastego, bez napięcia elektrycznego. Znajdowały się tam cztery duże baraki drewniane, każdy obliczony na 350 ludzi, składające się z dwóch skrzydeł. Baraki miały numerację 6, 7, 8, 9 i 10, przy czym numeracja 9 i 10 obejmowała dwa skrzydła tego samego baraku. Baraki były wykończone, wszędzie zamontowano drewniane podłogi, ale łóżka drewniane, trójpiętrowe były tylko w bloku 6.

Jeńców radzieckich przywieziono do Gross-Rosen kolejną w dniach 16 i 17 października 1941 r. w liczbie 2500, również ze stalagu VIII B nr 318 w Łambinowicach. Warunki transportu były podłe, w drodze i podczas przyjmowania do obozu zmarło 20 jeńców. Po doprowadzeniu przywiezionych do obozu kąpano i strzyżono, a także dezynfekowano. W przedsionku bloku 6 ustawiono dużą żelazną kadzi o wymiarach 150 x 150 cm i wysokości około 120 cm. Do kadzi tej wlewano kocioł gorącej wody z kuchni, dopełniano zimną wodą, dodawano 1 litr lizolu i kąpano po 10 osób na raz. Ubrań i ani bielizny nie zabierano. Po dokładnym przeglądnięciu i oczyszczeniu wydawano je w powrocie. Jeńcom wydano nowe numery, naszywane podobnie, jak nasze numery, na prowizorycznych szmatkach, ale z oznaczeniem KG /Kriegsgefangene/ i bez jakichkolwiek trójkątów.

Początkowo wszystkie baraki były zamieszkałe i panowała duża ciasnota, ale na skutek ostrego reżimu i głodu liczba jeńców topniała bardzo szybko. W początkowym okresie ginęło po kilkunastu jeńców dziennie, a był nawet jeden dzień, kiedy liczba zabitych przekroczyła 100 osób. Poza tym odbywały się selekcje, po których jeńców zabijano podawaniem trucizn doustnych w krematorium. W dniu naszego przybycia, tj. 24 grudnia 1941 r., liczba jeńców wyniosła już zaledwie niespełna 700 osób, tj. ponad 500 osób na blokach i ponad 120 chorych w rewirze. Szpital więzienny w Gross-Rosen nazywał się rewirem. Jeńcy przebywali wtedy w blokach 6 i 7, bloki 8 i 9 były już całkowicie puste, a w bloku 10 mieścił się rewir. Obóz jeniecki, podobnie jak ogólny, nie miał sieci wodnej ani kanalizacyjnej. Mycie odbywało się w prowizorycznych, drewnianych korytkach, ustawionych przed blokami. Na dole tarasowego obozu mieściła się jedna, duża latryna polowa, z osobnym dostępem dla więźniów i jeńców. Nawet tam wszelki kontakt był niedozwolony. W nocy zabezpieczano naturalne potrzeby kiblami ze starych drewnianych beczek, ustawionych pod ścianą bloków. W dzień odnoszono je do latryn.

Kierownikiem obu obozów był unterstormführer SS Anton Thumann, z zawodu stolarz, z upodobania sadysta. Rapportführerem był sturmann SS Helmut Eschner, z zawodu komornik sądowy. Blockführerami i pełniącymi służbę wachmanami na tylnej bramie, tzw. "ruskiej", byli sesemani Gallasch, Klytsch, Juchelek, Schrammel, i Hanke. Służbę sanitarną pełnili dwaj uprzednio wymienieni lekarze SS i najczęściej SDG /sanitariusz SS/ unterschrführer

Schu tze lub Kurze. Ten brał udział we wszystkich mordach, selekcjach i truciach oraz pilnie śledził takich, którzy mieli złotem uzupełnione braki w uzębieniu.

Starszym obozu jenieckiego, czyli lagerältesterem był jeden z najgorszych niemieckich BV-erów i homoseksualistów, Georg Prill. Zamordował on wielu jeńców i więźniów własnoręcznie. Jego zastępcą i blokowym bloku 7 był również BV i homoseksualista Emil Take, tzw. elegant. Tak samo kapowie byli odpowiednio dobrani z najgorszych bandytów. Ponadto wszyscy oni byli także homoseksualistami. O swoistości obozowej Gross-Rosen przesądzało bowiem, że znalazło się tu bardzo dużo niemieckich przestępców pospolitych, będących na domiar homoseksualistami i oni nadawali ton temu obozowi. Nocami w bloku nr 6 u blokowego Prilla odbywały się pijaństwa, gry karciane i orgie seksualne. Używano do tego młodych jeńców i tych potem pomordowano. Nieraz rano przynoszono zwłoki zdeптanych na śmierć młodych chłopców oczywiście nie można było u nikogo interweniować.

Twardy reżim, z ciągłym biciem i mordowaniem, ciężka praca i głód to były główne przyczyny gwałtownego wymierania jeńców radzieckich. Wyżywienie ich było znacznie gorsze niż więźniów. Ludzie wprost padali z głodu. Wcześniej ginęli słabsi. W blokach panowało prawo silniejszego. Na podstawie zapisów całodziennych otrzymywanych porcji jedzenia kilkakrotnie obliczałem kaloryczność całodziennego wyżywienia. Przed odjazdem z Oświęcimia mia nowicie otrzymałem w podarku od Bernarda Świerczyny ostatni polski kalendarz lekarski. Przemyciłem go do Gross-Rosen do bloku i przechowywałem w sienniku. Były tam tablice kaloryczności. Moje obliczenia wykazywały dzienną kaloryczność jenieckiego jedzenia na 750 do 960 kalorii dziennie, zależnie od tego jaki był wieczorny dodatek: czy smalec, czy marmolada, czy margaryna, czy kiełbasa. Do obliczeń nie potrzeba było nawet wagi. Wiedzieliśmy, na ile osób była dzielona 500-gramowa kostka margaryny, na ilu ludzi 1400-gramowy bochenek chleba itd. W Gross-Rosen jeńcom wydawano, podobnie jak w Oświęcimiu jeden bochenek chleba na 8 do 10 ludzi, natomiast więźniom wydawano 1 na 4. Ponadto ludzi tych używano do najcięższych prac w kamieniołomach, a po pracy kazano im ponadto przynosić do obozu duże kamienie, służące dla celów budowlanych. Wszyscy jeńcy pracowali w kamieniołomach, ale nie wolno było zatrudnić ich przy żadnej pracy zmechanizowanej i przy maszynach.

Codziennie umierało około 20-25 ludzi. Co kilka lub kilkanaście dni następowały jeszcze przeglądy selekcyjne. Dokonywali ich Anthon Thumann, Helmut Eschner i lagerarzt Friedrich Entress, a potem Kurt Babor. Wybierano na oko ludzi lepiej wyglądających, mających posłuch u innych lepiej się prezentujących. Opowiadano, że wysyła się ich do innych obozów dla kadry oficerskiej i podoficerskiej. Rzekome transporty wychodziły jednak zawsze nocą i zawsze tylną bramą obozu, która prowadziła do kamieniołomów, i także do krematorium. Ponadto jeńcy zauważyli, że z krematorium ciągle wywozi się mundury, mimo, że tam odnosi się nagie zwłoki. Jeńcy znali między sobą swe sorty mundurowe, a ponadto podpisywali je i znaczyli przed kradzieżą ołówkiem kopiowym. Zdarzało się wielokrotnie, że ktoś na skutek podarcia potrzebował wymiany części munduru i otrzymywał z magazynu inną sztukę, którą rozpoznawał jako garderobę kolegi, co wyjechał rzekomo na tran-

sport. Dlatego przy transportach koledzy żegnali się jak idący na śmierć.

Takich selekcji było wiele. Ja widziałem tylko jedną, na przełomie grudnia 1941 r. i stycznia 1942 r. Wybrano wówczas 78 jeńców. Wybierali Anthon Thuman i Helmut Eschner. Kazano ludziom oczyścić się i przygotować do drogi. Potem jak się już ściemniło wyszli z obozu pod konwojem esesmanów, a w ślad za nimi poszedł lagerarzt Babor z SDG niosący pękata teczkę. W bloku tymczasem był blokszpera i nie wolno było wchodzić. W ten sposób zginęła w tym obozie około trzecia część jeńców.

Zwłoki zmarłych i zabitych palono w miejscowym, polowym krematorium. Wskutek nadmiernej eksploatacji często się jednak ono psuło, jak na przykład w czasie, kiedyśmy tam przebywali. Odnoszący zwłoki zmarłych do krematorium opowiadali, że leżą tam całe sterty nie spalonych zwłok. Okresowo wywożono je gdzieś autami. Powojenna kontrola ksiąg krematoryjnych w tych okolicach ujawniła, że np. w cmentarnym krematorium w Legnicy spalono w czasie od 15 grudnia 1941 do 31 stycznia 1942 r. 958 zwłok jeńców wojennych z obozu Gross-Rosen.

Odzież, bielizna i obuwie jeńców radzieckich, dostarczanych do obozu Gross-Rosen, była w dość dobrym stanie i gatunku. Tu dostarczono dużą liczbę żołnierzy wojsk zmechanizowanych, ich odzież była lepsza niż piechurów. W chwili kiedy przybyłem do Gross-Rosen, duża część więźniów chodziła w bieliźnie i butach pojenieckich, mimo że oficjalnie było to niedozwolone. Zwłaszcza obuwie było lekkie, na mocnej, lekkiej, gumowej podeszwie, Buty z cholewami, jeszcze lepsze, nosili blokowi i kapowie, oczywiście z nogawką spodni wypuszczoną na zewnątrz aby nie "podpaść".

Rewir jeniecki mieścił się w połowie dużego baraku, w bloku nr 10. Oczywiście był to rewir tylko z nazwy. Tam chorzy mogli jedynie na leżąc oczekiwać śmierci, bez potrzeby wychodzenia do pracy. Nie było żadnego sanitariusza, żadnych lekarstw ani materiałów opatrunkowych, żadnych urządzeń. W dniu 24 grudnia 1941 roku chorych było ponad 100. Ludzie kompletnie wyniszczeni, po prostu skóra rozpięta na kościach, leżeli w podartej koszuli lub zupełnie nago na starych zniszczonych siennikach lub wprost na podłodze. Nie potrafili wstać za własną potrzebą ani podejść do kotła po jedzenie, które rozdawał przysyłany z bloku służbowy. Nie przychodził tam ani lekarz SS, ani żaden SDG. Nie prowadziło się żadnych zapisów, żadnych dokumentacji zgonów itp. Zgony podawało się jedynie na kartce w meldunku ilościowym.

Z rewiru ogólnego, od kapo rewiru, BV Hermana Löscheho wyprosiliśmy nieco lekarstw i materiału opatrunkowego. Ale nie to było decydujące. Ci wygłodzeni do ostatecznych granic ludzie wymagali wysokokalorycznego i wysokobiałkowego odżywienia, którego nie mogliśmy im podać. Śmiertelność rewirowa sięgała codziennie liczby 15 do 20 osób, ponadto każdego dnia kilku zabitych dostarczano z bloku Prilla i kilku zabitych z grup roboczych. Praca nasza nie mogła dać żadnych efektów, poza tym polegała ona jedynie na pielęgnacji i oszustwie, bo oszukiwaliśmy siebie i chorych, podając jakieś krople i tabletki, w których działanie nawet sami nie wierzyliśmy, po prostu, aby uspokoić własne sumienie, że coś jednak robimy. Musieliśmy za to trochę pracować fizycznie, bo już nikt nam nie pomógł. Wynosiliśmy sami kible, sprzątali i zmywali podłogi, odśnieżali otoczenie

bloku, budząc z powodu naszych dziwacznych ubrań śmiech i politowanie przyglądających się nam więźniom.

Panowało wówczas przekonanie, że w obozie trwa dur plamisty i on jest przyczyną wysokiej śmiertelności. Staraliśmy się tego dociec, zwłaszcza dr Żegleń, który był doskonałym lekarzem praktykiem, z dużym stażem lekarskim. Nie mieliśmy jednak żadnych podstaw do stwierdzenia tyfusu plamistego u jeńców. Jak było w rewirze ogólnym, nie wiem, tam nie chodziliśmy i nie byliśmy tam mile widziani. Tam było królestwo bevauerów i bandytów, którzy uważali się conajmniej za lekarzy.

Niedługo jednak skończył się nasz rewir. Pewnego dnia, około połowy stycznia 1942 r., po apelu wieczornym przyszedł do nas sanitariusz niemiecki z rewiru ogólnego, z kapo Hermanem Löschem, a więc Franz Grabowski, Stanisław Krauze i Bruno Saroki. Mimo polskich nazwisk - wszyscy niemieccy bevauerzy. Z rozkazu lekarza Babora polecono nam natychmiast udać się do rewiru ogólnego i tam pozostać przez noc. Sami pozostali w rewirze jenieckim. Po drodze spotkaliśmy idącego w kierunku jenieckiego obozu lekarza dr Kurta Babora z SDG Schultze /Kurze/ oraz lagerführera Thumana.

Wróciliśmy następnego dnia do apelu rannego. W naszym rewirze zastaliśmy olbrzymią stertę zwłok, znacznie więcej niż mieliśmy chorych. Wszyscy leżeli w sypialni w grupach i zwalach jednakowo sini, z wytrzeszczonymi oczyma i zębami, z grymasem na ustach, poskręcani jakby w skurczach. Obraz nie do zapomnienia. Było ich razem przeszło 220. Tego dnia nikt nie wyszedł do pracy. Przez kilka godzin wyciągano zwłoki i wywożono do krematorium. Jeńców pozostało już niewiele ponad stu. Opowiadali mi, że poprzedniego wieczoru zrobiono im zbiórkę. Przyszedł lekarz SS, Kurt Babor, lagerführer Anthon Thuman i raportführer Helmut Eschner, aby wybrać ponad 120 ludzi rzekomo na transport. Potem ich zabrano do badania lekarskiego do rewiru i więcej nie wrócili. Ci jeńcy, wożący swoich kolegów do krematorium z zaciśniętymi, wąskimi ustami, milczący, zgrzytający zębami z bezsilności tworzyli jakby specyficzny orszak żałobny. Nie padł ani jeden głośniejszy rozkaz, ani jeden żart, jak to zwykle bywa. To był koleżeński kondukt żałobny.

Wieczorem przyszedł do mnie pod pozorem porady lekarskiej niemiecki sanitariusz Krauze. Był to chyba jakiś folksdojcz z terenów wschodnich. Mówił dobrze po ukraińsku i rosyjsku. Polskiego nie znał. Rosjan lubił. Przyszedł, żeby mi powiedzieć, jak to się stało. Opowiadając płakał. Całość miała następujący przebieg. Wybranych z bloku pracujących, przeszło 120 wychudzonych, ale zdrowych jeńców przeprowadzono na rewir, ale pod wejście sąsiedniego bloku 9. Tam kazano im się rozebrać do naga i wchodzić pojedynczo, na zawołanie, do lekarza do badania.

W środku tagesraumu /izby dziennej/ siedział przy stole lekarz Kurt Babor w białym kitlu i ze słuchawkami na karku. Kiedy jeniec podchodził do niego do badania, z daleka, na moment przykładając słuchawkę fonendoskopu do klatki piersiowej, nie zakładając oliwek do ucha, trzymał chwilę i dysponował: 30 Herztropfen /kropli na serce/. Wtedy jeniec podchodził do drugiego stolika, tam siedział kapo Lösche i nalewał mu około pół łyżeczki jakiegoś płynu z okrągłej butelki oraz zapytywał jeńca o nazwisko: Familia? W ten sposób uzyskiwano pewność, że lek został połknięty. Wtedy Saroki i Grabowski podejmowali pod ramiona sła-

niającego się już jeńca i wyprowadzali do sąsiedniego pokoju - sypialni, tam składali konającego na podłodze. Ludzie ci nie krzyżowali. Działanie trucizny było piorunujące. Konający siniał nie dostawał powietrza, miał jakby jakieś kurcze mięśniowe i tak, powoli dusząc się, w ciągu kilkudziesięciu sekund umierał.

Karuse wpuszczał wchodzących i zamykał za nimi drzwi. Blokowi Georg Prill i kapowie pilnowali stojących przed blokiem w kolejce. Jeńcy nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje. Wchodzili milczący, z zaciśniętymi ustami, nie opierali się. Potem po kolei przyprowadzono wszystkich chodzących chorych z sąsiedniego skrzydła rewiru. Nie chodzącym podano truciznę na miejscu. Truciznę nalewano z okrągłej butelki, z nalepką fabryczną Sympatol. Taką butelkę - w późniejszym okresie - widywałem niejednokrotnie w rękach SDG udającego się do krematorium dla wykonania tzw. wyroków, wówczas już pracowałem w rewirze ogólnym. Podawanie trucizn doustnych było osobliwością obozu w Gross-Rosen. Zeznawał na ten temat w procesie w Hamburgu w roku 1960 esesman Leyer z załogi Gross-Rosen.

Tak więc w obozie pozostało jeszcze niewielu ponad 100 jeńców. My dwaj z dr Żegleniem straciliśmy chorych i pracę. Wykorzystywał to szczególnie blokowy Georg Prill, wymyślając dla nas różne najbrudniejsze prace. Nosiliśmy zatem kible, czyściliśmy ulice, wywoziliśmy śmieci itd. wszystko w tych naszych śmiesznych strojach.

W dniach 19 i 20 stycznia 1942r. urzędowała w obozie specjalna komisja na czele z dr Meineckem z Berlina. Przeprowadzono selekcję w całym obozie ogólnym i wybrano 214 wyposzczonych ludzi, w tym wszystkich Żydów, z przeznaczeniem na transport. Transport ten odszedł dopiero w marcu. Wyjechało wtedy, 24marca, 127 żyjących jeszcze, z tej listy, do zakładu eutanazyjnego w Bernburgu.

W ostatnich dniach stycznia mówiło się w obozie, że w miejscowym garnizonie SS wybuchł dur plamisty i dwóch chorych odwieziono do szpitala. Nigdy nie mogłem dojść prawdy, czy tak rzeczywiście było. Od 1 lutego nagle odszedł lagerarzt Babor, a na jego miejsce przyszedł obersturmführer SS Schiets lub Schmiedt. Zarządzono kwarantannę całego obozu. Najwyższą władzą w obozie stał się lekarz obozowy. Było to niebywałe wydarzenie. Esesmani wchodzili tylko na krótką chwilę w celu odebrania apelu i zaraz wychodzili. Nie wolno im było wchodzić na bloki. W obozie widywało się tylko lekarza i SDG, zawsze w białych kitlach. Robili stale przeglądy poszczególnych bloków i rewiru ogólnego. W obozie trwało wieczne iskanie od rana do wieczora, strzyżenie, golenie i pranie. Jedzenie było nieco lepsze, ludzie nie chodzili do pracy. Nikt z więźniów nie wychodził za bramę.

Potem przeniesiono jeńców z bloku 6 na blok 7 i przesunięto za nimi ogrodzenie. W bloku 6 cały obóz przechodził dezynfekcję i kąpiel. W blokach własnych pozostawiono odzież i bieliznę porozkładaną na podłodze i po kolei, blokami, więźniowie przechodzili na blok 6, przejściowy. Ich własny blok - po zaklejeniu okien i drzwi papierem - przegazowywano jakąś substancją spalaną na metalowych podstawkach. Cuchnęła siarką. Opowiadano że po tym gazowaniu znajdowano jeszcze żyjące insekty, wszy i pluskwy. Tymczasem więźniów strzyżono, golono i kąpano przy użyciu kadzi na bloku 6. Działo się to w zimie, przy dość mroźnej i śnieżnej pogodzie, bardzo wielu ludzi pozaziębiało się. Na samym końcu

taką samą dezynfekcję i dezynsekcję przeszli jeńcy radzieccy i potem wrócili na swój blok. Do nas lekarz niemiecki przyszedł tylko jeden raz, stwierdził, że nie mamy żadnych chorych, zapytał, kto i dlaczego wydał nam takie opaski i ubrania. Kazał przeprowadzić dezynfekcję i kąpiel w obozie jenieckim i więcej już ani razu do tego obozu nie przychodził, mimo że był w Gross-Rosen do 31 lipca 1942 r. Po około 5 tygodniach, w pierwszej dekadzie marca wszystko wróciło do poprzedniego stanu, kwarantannę zniesiono i ludzie wrócili do pracy. Jeńcom przydzielono lżejszą pracę oraz wyżywienie jak w całym obozie, zatem poprawiono o około 300 - 400 kalorii dziennie, a na apelu odczytano rozkaz lagerführera o zakazie bicia ich. Przypomniano również, że jeńcy nie powinni zdejmować czapek, a jedynie salutować esesmanów. Izolacja obozu jenieckiego obowiązywała nadal, ale życie stawało się znośniejsze. Na bloku często odbywały się nawet piękne, chóralne śpiewy.

Pewnego dnia Eschner zabrał nas do raportu karnego do lagerführera Anthona Thumanna jakoby za sabotowanie i unikanie pracy. Tam obaj z Żegleniem stwierdziliśmy zgodnie, że wykonujemy wszelkie prace nam zlecone, ale pracy sanitarnej rzeczywiście nie mamy wiele, natomiast w naszych uniformach i opaskach jesteśmy wyśmiewani, zwłaszcza przy wykonywaniu najbrudniejszych prac w obozie. Kazał nas przemundurować normalnie i zatrudnić dodatkowo przy sprzątaniu pomieszczeń wartowniczych przy obu bramach oraz jako oddźwiernych przy bramie. Józek otrzymał przydział na bramę główną, mnie dostała się brama tylna tzw. ruska. Musieliśmy dodatkowo obsługiwać esesmanów pełniących służbę, sprzątać wartownię, czyścić buty itd. Mogliśmy też obserwować zachowanie esesmanów na bramie, przeszukiwanie i rewidowanie wchodzących, znęcanie się nad więźniami i jeńcami o byle głupstwo.

Tak trwało do czerwca 1942 r. Od 1 czerwca zniesiono izolację jeńców i zlikwidowano oddzielny obóz. Zniesiono przegrodę z drutów. Jeńcy zostali na bloku 10, zachowali swoją odrębną numerację z literami KG, ale pozostali na takich samych warunkach jak wszyscy więźniowie. Tak też zostali przydzieleni do pracy w różnych komandach. Jedynie część specjalistów, rzemieślników, zatrudniono w "lewych" warsztatach rzemieślniczych dla esesmanów. Tak więc jeszcze z górą rok czynny był warsztat szewski, prowadzony przez Saszę, wyjątkowego szewca - artystę, warsztat krawiecki oraz warsztat zegarmistrzowski Pieti /z Leningradu/, który specjalizował się w przerabianiu dla esesmanów rosyjskich zegarków kieszonkowych Kirowa na zegarki ręczne. Także pewien student szkoły artystycznej długi czas pozostawał poza pracą na bloku, malując różne obrazy dla esesmanów. W kancelarii zatrudniono ponadto Igora Gurewicza, który stał się urzędowym tłumaczem języka rosyjskiego i na tym stanowisku przetrwał do końca obozu.

W ciągu 1942 r. do obozu w Gross-Rosen przybywało niewielu jeńców i cywilnych Rosjan, ale otrzymywali już numerację więźniarską. W 1943 roku już znacznie więcej. Był nawet w lecie transport liczący około 3000 ludzi. Mimo, że w grupie tej liczby było wielu jeńców, byli oni traktowani jak normalni więźniowie obozów koncentracyjnych. W roku 1943 był taki okres że liczebność obywateli radzieckich zbliżała się do stanu 50% wszystkich więźniów.

Z grupy jenieckiej byłego obozu jenieckiego spotykałem jeszcze długo potem nieliczne grupy. I tak w 1944 roku w obozie Dyhernfurth II spotkałem kilkunastu z tych jeńców z szewcem Saszą oraz sztubowym Iwanem i Wasylem. Tę samą grupę spotkałem jeszcze w roku 1945 w obozie w Litomierzycach. Wiem nawet, że niektórzy z nich, na czele z Iwanem, uciekli w ostatnich dniach kwietnia z obozu do partyzantki.

Nas obu w czerwcu 1942 roku wysłano do pracy w kamieniołomach. Eschner nawet namawiał kapo Nikolajczaka do wykończenia nas, ten jednak nie tylko nie zrobił nam krzywdy, gdyż już przedtem był naszym pacjentem, ale po dwóch tygodniach pomógł nam uzyskać stanowiska tzw. sanitariuszy - Żegleniowi przy komandzie Steinbruch, a mnie w szkole uczniów kamieniarskich przy tych zakładach. Tam też prowadziłem magazyny. Niestety, magazyny te odwiedzał także lagerführer Anthon Thuman i musiałem kraść dla niego wybrane przez niego materiały w olbrzymich ilościach i przewozić je w wózku pod kartoflami do komendantury. Od sierpnia 1942 roku przyszedł nowy hauptsturmführer SS Willi Jobst i ten ściągnął nas do pracy w rewirze więziarskim.

Reasumując stwierdzam, że w październiku 1941 roku w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu i w Gross-Rosen stworzono wydzielone obozy dla jeńców radzieckich. Przydzielone kontyngenty jeńców wojennych w krótkim czasie, bo w ciągu około czterech miesięcy, zniszczono prawie zupełnie, pozostawiając jedynie potem około 100 jeńców. W obu tych obozach niszczonego ludzi głodem, morderczą pracą i biciem, a ponadto przeprowadzano selekcje, wybierano tzw. komisarzy komunistycznych i zabijano ich w Oświęcimiu przez rozstrzeliwanie, a w Gross-Rosen przez podawanie silnych trucizn doustnych z grupy soli cyjanowych. Jeńcy ci byli do ostatka bici i poniżani oraz poniewierani przez ludzi w niemieckich mundurach SS, co nigdy ani jednego dnia nie byli na froncie, oraz przez pospolitych przestępców i oprawców. Nie jest mi wiadomo, aby którykolwiek z esesmanów, winnych tych czynów został ukarany.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.56.

